



ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI

BEZCENNY

To jest darmowy fragment powieści.
Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw co wydarzy się dalej,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art



Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca

ROZDZIAŁ DRUGI

WARSZAWA

1

Jest taki typ kobiet, do których mężczyźni nigdy nie podchodzą w barach, żeby zagaic, postawić drinka i zorganizować sobie wieczór. Nawet jeśli one są w szpilkach i wydekoltowanych czerwonych kieckach, a im alkohol na tyle stępił samokrytycyzm, że przy każdej innej czuliby się przystojni, dowcipni, męscy i elokwentni, to i tak nie podejdą. Tak samo jak uczeń szkoły podstawowej nie oprze się nonszalancko o biurko wychowawczyni i nie rzuci: „Jak ci minął wczoraj wieczór, królowo moja?”. Pewnych rzeczy się po prostu nie robi.

Doktor Zofia Lorentz była jedną z takich kobiet. Nikt nie zwracał się do niej „Zosieńko” ani nawet „pani Zosiu”, bo „pani doktor” po prostu lepiej układało się każdemu w ustach. Z daleka nic szczególnego: drobna blondynka o zwyczajnej figurze, okrągłej buzi i miodowych włosach obciętych na pazia, środkowoeuropejski standard. Z bliska zaskoczeniem były jej ciemne jak u Azjatów oczy, źrenice i tęczówki zlewały się w dwa czarne punkty, sprawiając, że niemożliwością było zgadnąć, czy patrzą ze współczuciem, wyrzutem, czy naganą. A po krótkiej rozmowie okazywało się, że jest doktor Lorentz osobą zadziorną, nieustępliwą, obdarzoną złośliwą inteligencją i pozbawioną zdolności do kompromisów. Wszystko razem kazało uważać

przy niej na błędy językowe, wystrzegać się seksistowskich żartów i nie wyobrażać jej sobie jako kobiety, która z błogim uśmiechem smaży jajecznicę w niedzielny poranek, krzątając się w kusym szlafrocuku po zalanej słońcem kuchni.

W wieku trzydziestu czterech lat doktor Zofia Lorentz była samotną, bezdzietną i umiarkowanie szczęśliwą kobietą, która nauczyła się inwestować energię tylko w te aktywności, które uważała za korzystne. Języki obce, praca naukowa, hippika, narciarstwo i biegi średniodystansowe – biegała maratony, ale uznała, że przez to jej figura traci na kobiecości. Dziesięć lat temu jako młodziutka absolwentka prawa międzynarodowego i historii sztuki trafiła do Zespołu do spraw Rewindykacji Dóbr Kultury w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Dziś była szefową tej niewielkiej, bo jednoosobowej komórki, zajmującej się tropieniem i odzyskiwaniem dziedzictwa utraconego przez Rzeczpospolitą w różnych momentach jej historii.

Polscy ambasadorzy wyrażali się o niej z podziwem i szacunkiem, dyrektorzy muzeów nosili ją na rękach, kolekcjonerzy podlizywali się jej na wszelki wypadek, a wiecznie balansujący na granicy paserstwa najbardziej znani antykwariusze Europy do spółki z właścicielami do mów aukcyjnych utopiliby ją w szklance wody.

Należała do nieusuwalnych urzędników państwowych średniego szczebla i doskonale zdawała sobie sprawę, że swoją funkcję może sprawować, dopóki ma na to ochotę, obserwując, jak na pierwszym piętrze modernistycznego budynku w alei Szucha zmieniają się regularnie nazwiska ministrów i wiceministrów na mosiężnych tabliczkach. Wiedzieli, że nie mogą ruszyć osoby, dzięki której do polskich muzeów wracają bezcenne dzieła sztuki, i nie wchodzili jej w drogę, a ona w zamian pozwalała im się sfotografować raz na jakiś czas z odzyskanym Gierymskim lub Wyczółkowskim, jak przekazują go wzruszonemu dyrektorowi jednego z muzeów.

Ubrana w dopasowaną spódnicę i czarną marynarkę stuknęła obcasami kozaków, przemierzając korytarz ministerstwa razem

z aktualnym przełożonym. Uważała, że jak na polityczne nadanie nie był zły, zdrowo zdystansowany do bogoojczyźnianego ducha, który od lat nadawał ton polskiej polityce zagranicznej. Właściwie to na swój sposób go podziwiała – za charyzmę i polityczną sprawność.

– Wolałabym wiedzieć, w jakiej sprawie idziemy. Marnuję czas, kiedy jestem nieprzygotowana.

– Pani doktor, premier osobiście zadzwonił i prosił, żebyśmy się natychmiast stawili w kancelarii. Z takimi poleceniami się nie dyskutuje.

Spojrzała na niego, nie zwalniając kroku. Nie wiedział, czy ze zrozumieniem, współczuciem, czy politowaniem, nic nie można było wyczytać z tych cholernych czarnych oczu.

– To premier, na pewno ma coś ważnego i konkretnego do powiedzenia. – Przełożony niepotrzebnie brnął w tłumaczenia.

– Jestem szaszczycona.

Minister nigdy nie wiedział, czy doktor Zofia Lorentz żartuje, czy nie, i miał problem, co go bardziej skompromituje: milczenie mogące sugerować, że nie zrozumiał dowcipu, czy rechot świadczący o tym, że nie docenił powagi wypowiedzi. Na wszelki wypadek zawsze wybierał milczenie.

Minęli portiernię, założyli płaszcze i wyszli na aleję Szucha. Zima w tym roku przyszła wcześniej, nie było jeszcze grudnia, a w Warszawie sypało przez cały tydzień. Tak było w całej Europie, naukowcy w telewizji dwoili się i troili, aby udowodnić, że to jeden ze skutków ocieplenia klimatu.

Pięć minut później przechodzili przez bramkę w gmachu Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, dziesięć minut później doktor Zofia siedziała w sekretariacie premiera i podpisywała oświadczenie, że jest świadoma, że najbliższa rozmowa dotyczyć będzie informacji niejawnych objętych klauzulą „ściśle tajne” i za ich ujawnienie grozi do ośmiu lat więzienia.

– Premier oczekuje państwa w kostce – poinformowała ich sekretarka po odebraniu dokumentów.

Lorentz słyszała wcześniej o kostce, jak w ministerialnym slangu nazywano specjalny antypodszuchowy pokój do tajnych narad, wybudowany kilka lat temu. W towarzystwie oficera Biura Ochrony Rządu wjechali na piętro i tam w połowie korytarza zatrzymali się przed jakimiś drzwiami. Tabliczka informowała, że jest to wejście do „Sali konferencyjnej 4.15”. Za drzwiami zamiast sali konferencyjnej była niewielka śluza, w której Zofia Lorentz musiała przejść przez detektor metali, znieść przeszukanie i zostawić w szafce przypominającej małą przechowalnię bagażu wszystko, co nie było ubraniem: torebkę, telefon, klucze, pieniądze, biżuterię. Mimo pozornego chłodu czuła narastającą ekscytację, udzielał jej się nastrój tajemnicy, sekretnego spotkania na najwyższych szczeblach władzy. Niestety kazali jej zdjąć też kozaki, co sprawiło, że poczuła się niska, naga i poirytowana.

– Premier też siedzi w skarpetkach? – spytała młodego oficera BOR.

Borowiec wzruszył tylko ramionami i wcisnął przycisk, otwierając kolejne drzwi.

Weszli do następnego pomieszczenia. Doktor Lorentz rozejrzała się z ciekawością. Była to obszerna sala o powierzchni stu pięćdziesięciu, może dwustu metrów, kompletnie pusta. Ściany, podłoga i sufit zostały wyłożone tworzywem w rodzaju śnieżnobiałego linoleum, płaszczyzny przechodziły łagodnie jedna w drugą, bez ostrych kątów i kątów, w suficie zatopiono liczne jarzeniówki.

Niemożliwością było ukryć tu szpilkę.

Pośrodku sali tkwiła słynna kostka – przezroczyste pomieszczenie z grubego tworzywa sztucznego o boku jakichś pięciu metrów, w którym za stołem siedziało trzech mężczyzn w garniturach, podobnych do siebie jak klony. Jedynie premier miał buty na nogach.

W kostce oprócz premiera siedzieli minister kultury i jakiś nieznany jej mężczyzna. Skinęła głową na powitanie i zajęła

jedno z wolnych miejsc, jak najdalej od ministra kultury, którego uważała za szkodliwego głupka. Od nominacji, kiedy to wyznał z rozbrajającą szczerością, że wołałby dostać resort obrony, ale jak się nie ma, co się lubi, to trudno, od tego momentu było już tylko gorzej.

Premier zaczekał, aż światelko zainstalowane pośrodku stołu konferencyjnego zmieni się z czerwonego na zielone – znak, że zostały włączone wszystkie urządzenia antypodszuchowe – i zwrócił się od razu do niej.

– Pani doktor, czy podejrzewa pani, w jakiej sprawie się spotykamy?

– Zapewne w sprawie funduszu, o który walczę od początku kadencji.

Jej szef obok jęknął.

– Funduszu? – Premier wyglądał na szczerze zdziwionego.

– Funduszu finansowanego z opłat wnoszonych przez antykwariuszy i domy aukcyjne, który pozwoliłby nam finansować poszukiwania zaginionych dzieł sztuki, a potem opłacać najlepszych prawników, żeby je odzyskiwać dla Rzeczypospolitej.

Premier patrzył na nią z uśmiechem polityka, który wszystko rozumie i ze wszystkim się zgadza.

– Otóż... – zaczął.

– Otóż nie wie pan, o czym w ogóle mówię. Prawda, panie premierze?

– Chodzi o to, że nie jest to tematem tej rozmowy – wtrącił się minister kultury. – Poza tym i bez funduszu doskonale sobie radzimy. Bezcenne zabytki wracają do kraju.

Pomyślała, że policzy od pięciu do jednego i dopiero potem się odezwie, ale pękła przy trzech.

– Skoro nie potrafi pan przestać szkodzić, niech się pan przynajmniej nie odzywa. Państwo nie powinno negocjować z terrorystami i płacić złodziejowi, żeby odzyskać swoją własność. Pana działania sprawiły, że wiele dekad pracy poszło na marne. Myślę, że pan premier powinien o tym wiedzieć.

Premier spojrzał na resztę interlokutorów, jakby czekając, że ktoś mu wytłumaczy, o co chodzi. Pomógł minister spraw zagranicznych:

– Doktor Lorentz chodzi o to, że powinniśmy odzyskiwać odnalezione dzieła na drodze prawnej, poprzez uznanie naszego prawa własności, w ten sposób każdy wygrany proces ułatwia odzyskanie następnego dzieła. Płacenie antykwariuszom lub posiadaczom sprawia, że w świat idzie sygnał: Polska płaci. To czemu ktoś miałby się godzić na negocjacje?

Minister kultury rozłożył ręce bezradnie.

– Ale czy to jest moja wina, że jakaś prywatna firma chce przeznaczyć trochę swoich duków na dziedzictwo narodowe?

– Nazywa pan Orlen i PZU prywatnymi firmami? – spytała niewinnie Lorentz.

– Oj tam, oj tam, nie łapmy się od razu za słówka.

Milczący do tej pory mężczyzna spojrzał bez natarczywości, ale też dość wymownie na premiera, który zakończył dyskusję.

– Przepraszam państwa, ale w innym terminie będziemy musieli rozstrzygnąć w zależności od kompetencji ministerstw, w jaki sposób procedować przy odzyskiwaniu naszych utraczonych skarbów. Teraz przejdziemy do skarbu numer jeden. – Premier spojrzał na Lorentz, chcąc zobaczyć, jakie to wywrze na niej wrażenie.

Nawet nie mrugnęła.

– Doktor Lorentz, proszę poznać generała Marka Gagatka, szefa Agencji Wywiadu. Panie generale, doktor Zofia Lorentz kieruje zespołem do spraw retrybucji sztuki w MSZ.

Zofia z respektu dla najwyższej władzy przełknęła uwagę, że „zespół” to był za innych rządów, teraz jest to jednoosobowa komórka, i lekko skinęła głową generałowi. Nie wyglądał ani na generała, ani na wojskowego, zadbany pięćdziesięcioleciek roztaczał aurę prywatnej firmy, siłowni, squasha i samochodu za pół miliona.

– Pani Zosiu – zaczął z miłym uśmiechem generał Gagatek.

– Doktor Lorentz – poprawiła.
– Doktor Lorentz – kontynuował generał już bez uśmiechu. – Jakie jest pani zdaniem najważniejsze utracone przez nas dzieło sztuki?

Wzruszyła ramionami.

– W Polsce zawsze mieliśmy tak naprawdę tylko dwa obrazy. Patrząc z perspektywy sztuki światowej oczywiście, nie mówię tutaj o wartości sentymentalnej z narodowego punktu widzenia, ten cały szczek oręża i dyszące konie. Te dwa obrazy znajdowały się zawsze obok siebie w Krakowie. *Dama z gronostajem* Leonarda da Vinci cały czas tam wisi, a po *Portrecie Młodzieńca* Rafaela zostały puste ramy. To nie tylko najważniejsze dzieło sztuki ukradzione Polsce w czasie wojny. To w ogóle najważniejszy i najbardziej drogocenny spośród zaginionych i poszukiwanych kiedykolwiek obrazów. Nie bałabym się go nazwać męską wersją *Mony Lisy*.

– Ile jest wart? – Minister kultury udowodnił, że poza resortem obrony odnalazłby się też w Ministerstwie Finansów.

– Jest bezcenny i niesprzedawalny poza czarnym rynkiem, ale sądząc po innych transakcjach, można szacować, że od stu milionów dolarów w górę. A teraz chciałabym wiedzieć, dlaczego wezwali mnie panowie do tej szklanej trumny.

Gagatek bez słowa podał jej teczkę na dokumenty. Otworzyła, w środku było kilkanaście zdjęć formatu A4. Przejrzała je i rozłożyła na stole. Wszystkie przedstawiały doskonale znany jej z reprodukcji obraz. Młody mężczyzna o delikatnych, kobiecych rysach zerknął na widza w ten sam sposób, w jaki ze ścian Luwru patrzy Mona Lisa. Głowa obrócona na trzy czwarte, czarne źrenice utkwione w widzu, lekki uśmieszek błakający się na ustach. Dzień musiał być chłodny, chłopak narzucił na białą koszulę brązowe futro, niesforne ciemne loki, które luźno opadały aż do obojczyków, nakrył czapką.

Zofia Lorentz patrzyła w czarne oczy renesansowego młodzieńca, którego sportretował Rafael, i walczyła z emocjami. Znała wszystkie przedwojenne zdjęcia tego obrazu. W tym

nieliczne kolorowe. Znała wszystkie detale, od delikatnego rysunku paznokci po wieże miasteczka, które hen daleko za oknem przycupnęło pod łagodnymi wzgórzami. Znała ten zadziorny uśmieszek, który zdawał się mówić: „Nigdy mnie nie znajdziecie” i który – choć nikomu nigdy się do tego nie przyznała – był wyzwaniem, dla którego poświęciła wszystkie inne możliwości kariery. Mogła zostać rzeczoznawcą w zachodnim domu aukcyjnym, mogła pracować jako marszand, mogła doradzać bogatym tego świata przy zakupach i inwestycjach, mogła grzać teraz tyłek na swoim jachcie zacumowanym koło Genui, zamiast martwić się, czy to ostatni przed kwietniem słoneczny dzień. Mogła, ale zawsze kiedy opadały ją wątpliwości, patrzyła na ten zadziorny uśmieszek, który wypełniał ekran jej komputera, i myślała: znajduję cię, skurczybyku.

Jedyny znany przypadek w życiu doktor Lorentz, kiedy pozwalała sobie na użycie słowa tak ordynarnego.

Miała wiele powodów, żeby odnaleźć „skurczybyka”. Więcej, niżby sobie życzyła.

To, na co teraz patrzyła, to bez wątpienia były współczesne zdjęcia. Po pierwsze, znała wszystkie archiwalne. Po drugie, mimo że zdjęcia były trochę rozmazane, zrobione jakby spod kurtki, to ich jakość nie pozostawiała wątpliwości, że zostały zrobione niedawno. Po trzecie, na jedynym zdjęciu przedstawiającym plan ogólny Młodzieniec wisiał na ścianie tuż obok dużego telewizora LCD.

– Jakies pytania? – Premier nie mógł chyba znieść jej milczenia, wszyscy oczekiwali widać babskiej, emocjonalnej reakcji z okrzykami i omdleniem.

– Dwa. Sprawdziliście?

– W dwóch laboratoriach kryminalistycznych, niezależnie – potwierdził Gagateg. – Eksperci byli zgodni, że są to zdjęcia tego samego obrazu, który sfotografowano przed wojną. Nie ma żadnej szansy, żeby to była kopia. To ten sam obraz.

Lorentz zabębniła paznokciami o blat. Tandeta z płyty meblowej.

– A drugie? – Premier znowu nie wytrzymał.

– Co za... nędzna kreatura powiesiła Rafaela obok telewizora?

Premier westchnął i odchylił się na fotelu. Reszta patrzyła na niego z oczekiwaniem.

– I tutaj dochodzimy do sedna naszego spotkania. Otóż udało się nam, nam, czyli Rzeczypospolitej, wejść w posiadanie informacji, że obraz nie został zniszczony w czasie wojny i że znajduje się w rękach prywatnych. Udało nam się, jak pani widzi, potwierdzić istnienie obrazu. Innymi słowy, wiemy, że jest, i wiemy, gdzie się znajduje. I wiemy na sto procent, że nie ma żadnej szansy, żebyśmy go odzyskali w sposób legalny. I że jeśli wykonamy najmniejszy ruch w tym kierunku, Rafael zniknie tym razem na dobre, jeszcze zanim faks z naszym pismem skończy się przeciskać przez kabel telefoniczny.

– No dobrze. Ale kto go ma? Gdzie go trzyma?

Premier nachylił się w jej stronę.

– Szanowna pani doktor. Proszę mnie posłuchać bardzo uważnie, ponieważ złożę pani propozycję nie do odrzucenia. Może pani straszyć mnie tymi węglami, ale wiem, jaką tapetę ma pani na swoim komputerze. Znam historię pani rodziny. I wiem, dlaczego ze swoimi umiejętnościami siedzi pani w tej klitce przecznice dalej. A pani na pewno wie, co by dla nas oznaczało przed wyborami sfotografowanie się w Muzeum Czartoryskich w Krakowie razem z odzyskanym skarbem. No i jest oczywiście interes narodowy bliski naszemu sercu, uśmiechnięte polskie dzieci na wycieczce w muzeum i tak dalej.

Zofia uniosła jedną brew. Ciekawe.

– Jak mówiłem, nie ma możliwości, żebyśmy odzyskali go legalnie. Ale państwo polskie chętnie pomoże pani na tyle, na ile potrafi, żeby odzyskać go, no, tak po prostu.

– Nielegalnie?

– Powiedzmy.

– Mam zostać złodziejką?

– Po co od razu takie słowa. Też czasami musimy coś odzyskać lub uzyskać, no, tak po prostu, sięgnąć w słusznej sprawie do kieszeni podatnika. I nikt nie nazywa nas złodziejami.

Zofia wytrzymała spojrzenie premiera z kamienną twarzą, myśląc, że powstrzymanie się od wybuchu śmiechu w tej chwili jest największym wyzwaniem w jej karierze zawodowej.

– Zostanie pani honorową odzyskiwaczką, odzyskiwacielką... – Premier spojrzał na ministra kultury. – Jak się właściwie mówi?

– Nie mam pojęcia.

– W każdym razie odzyska pani dla ojczyzny coś, co powinno być w ojczyźnie. Uwolni pani ostatniego więźnia drugiej wojny światowej i sprowadzi do domu.

Lorentz siedziała bez słowa.

– A jeśli mi się nie uda? – zapytała w końcu.

– Rafael jest dla nas ważny, pani jest dla nas arcyważna, ale racja stanu mimo wszystko najważniejsza.

– Czyli sukces będzie wszystkich, a porażka moja.

Premier skrzywił się.

– Można to tak ująć, jeśli lubi pani nieeleganckie uproszczenia.

Siedziała nieruchomo, trąc nerwowo stopą o stopę i próbując odepchnąć natrętną myśl, że bez wysokich obcasów jej łydki zawsze wyglądają grubo. Na szczęście na białej przestrzeni wokół antypodsluchowej kostki nie było nikogo, kto mógłby to zauważyć.

– Gdzie to jest?

– Tak czy nie? Muszę usłyszeć jasną odpowiedź.

Zwlekała chwilę po to, żeby się nacieszyć wyrazem twarzy wszystkich mężczyzn, którzy zawiesili spojrzenie na jej ustach. Było to na swój sposób erotyczne doświadczenie. Wiedzieli, że jest jedyną osobą, która może odzyskać Rafaela. I pewnie

się zastanawiali, czy teraz walczy w niej patriotka i pasjonatka sztuki z grzeczną dziewczynką, która nie działa poza prawem. Tymczasem ona nie wahała się. Miejsce grzecznych dziewczynek jest w pensjonarskich powieściach, a miejsce Rafaela jest w Krakowie, nie koło jakiegoś telewizora. Poza tym musiała mu spojrzeć w oczy. Niech wie, kto go znalazł i zabrał do domu.

– Tak. Gdzie on jest?

– U sojusznika – odparł premier. – Generał Gagattek wprowadzi panią we wszystkie szczegóły, przedstawi też zespół, z którym będzie pani pracować.

Zrozumiała, że niektóre informacje są przeznaczone tylko dla niej, nawet jej bezpośredni przełożony, o głupku od kultury nie wspominając właśnie wypadli poza krąg wtajemniczonych.

– Nad zespołem muszę się zastanowić.

– Nie musi pani – błyskawicznie odparł Gagattek. – Wszyscy są wybrani, czekaliśmy tylko na pani decyzję, żeby ich ściągnąć. Tutaj nie ma miejsca dla przypadkowych osób.

Musiał dojrzeć niebezpieczne drgnienie jej mimiki, bo zanim zdążyła wytoczyć ripostę, dodał:

– I od tej pory wszelkie ostateczne decyzje należą do pani. Rozumiemy, że stuprocentowa odpowiedzialność musi oznaczać stuprocentową wolność. Zaczęliśmy działać, bo nie mamy czasu na wielomiesięczne przygotowania, wystarczy cień echa przecieku, żeby obraz zniknął, jesteśmy o tym przekonani.

Przez chwilę mierzyła się wzrokiem z Gagatkiem, potem przeniosła spojrzenie na premiera. Prezes Urzędu Rady Ministrów źle znosił przestoje, wystarczała sekunda ciszy i zaczynał się wiercić i bębnić palcami o stół.

Tymczasem ona potrzebowała kilku sekund.

Kilku sekund, żeby zamknąć oczy i przypomnieć sobie scenę z dzieciństwa. Lubiła myśleć, że to jej pierwsze wspomnienie, ale różnie to bywa ze wspomnieniami. Nigdy nie wiemy, czy naprawdę coś pamiętamy, czy tyle razy słyszeliśmy rodzinną opowieść, że uznaliśmy ją za własną. W tej opowieści czteroletnia

czarnooka dziewczynka z włosami zebranymi w dwa kucyki trzyma za rękę swojego dziadka – nie jest to dla niego proste, bo drugą ręką opiera się o łaskę i trudno mu zachować równowagę – i patrzy na wiszące w muzeum puste ramy. Dziadek pyta, czy wie, dlaczego w ramach nie ma obrazu, a ona odpowiada z niezachwianą pewnością przedszkolaka: „Bo każdy może namalować, tylko trzeba mieć kredki”.

A potem przez długie lata przy rodzinnym stole do znudzenia wszyscy opowiadają anegdotę, jak to Zosia chciała kredkami namalować Rafaela.

No i proszę, spełniło się jej dziecinne marzenie, premier właśnie wciska jej kredki do ręki i mówi: „Masz, dziecko, namaluj sobie”. Pytanie, czego jej nie mówi? Dymisja? Więzienie? Niebezpieczeństwo? Śmierć? Co jej grozi w tej awanturze?

– Stuprocentowa wolność? – zapytała bezpośrednio premiera.

– I odpowiedzialność. Zgadza się. I jeszcze błyskawiczna szybkość, chciałbym się sfotografować z Rafałkiem na Boże Narodzenie.

Do świąt zostało kilka tygodni.

– To kogo mam w zespole? – zapytała.

Gagatek wymienił trzy nazwiska, z każdym kolejnym jej czarne oczy robiły się coraz większe.

– To wygląda na jakiś ponury żart – wykrztusiła, nie potrafiąc na koniec ukryć swoich emocji.

Berliner Strasse kojarzyło mu się z Wrocławiem. Szeroka ulica wysadzana drzewami, po obu stronach kamienice z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, czasami wille z ogrodami, czasami powojenne plomby, proste i funkcjonalne. Był w połowie drogi z centrum Berlina do Poczdamu i jeśli wierzyć

Nie wierzysz że to już koniec? Masz rację!
To był darmowy fragment powieści, jeśli chcesz
dowiedzieć się jak to się naprawdę kończy
(oraz dać się zaskoczyć kilka razy po drodze),
zapraszamy do nas:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca